1 kwietnia 1947 r. Nr. 14 (75)

ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

KIM BYŁ
generał Świerczewski

MOTTO:

Ty, coś walczył dla idei,
Chwała Ci!
Boś wykrzesał z Twej nadziei
Nawskroś burzy i zawiei —
Jasne dni...
Ciebie niosły w wielkie boje
Archanielskie skrzydła Twoje,
I odzianyś jest przed światem
Blaskiem ducha i szkarłatem
Własnej krwi!

MARIA KONOPNICKA

* * *

Dnia 28 marca zginął od kul faszystów ukraińskich II wiceminister Obrony Narodowej, generał broni Karol Świerczewski.

Wiecie już o tym i z komunikatów radiowych i z gazet dla dorosłych, które na pewno przeglądacie. Chcemy Wam więc powiedzieć teraz o życiu i pracy tego człowieka, który do ostatniej minuty swego życia walczył o sprawiedliwość, walczył o wolność i dobro ludu i w walce tej poległ.

Generał Świerczewski urodził się w roku 1897 w Warszawie. Ojciec Jego był giserem, trudno mu było z nędznych zarobków utrzymać rodzinę i tow. Świerczewski będąc w Waszym wieku, mając dziewięć lat musiał już zarabiać na życie. Nie miał czasu na zabawy — siedząc w domu polerował razem z matką łyżki dla fabryki Gerlacha w Warszawie. Jako szesnastoletni chłopiec jest już samodzielnym tokarzem i pracuje w tejże fabryce. Jego rówieśnicy chodzili do szkół, bawili się i uważano ich za dzieci — tow. Świerczewski uczył się i ciężko pracował. I poznał, odczuł na własnej skórze niedolę ludu pracującego i o wyzwolenie jego walczyć postanowił.

Wybuchła pierwsza wojna światowa. W roku 1915 fabryka Gerlacha została wywieziona w głąb Rosji i z nią razem wyjechał młodziutki tokarz — późniejszy żołnierz walki o wyzwolenie. A w Rosji robotnikom wiodło się wtedy nie lepiej niż gdzie indziej. I w Rosji robotnicy tak jak i robotnicy na całym świecie walczyli o swoje prawa. Wybuchła rewolucja. W pierwszych szeregach stanął późniejszy generał Świerczewski i walczył aż do zwycięstwa.



Generał broni
KAROL ŚWIERCZEWSKI

Uczył się w tym czasie dużo, ukończył Akademię Wojskową, pozostał już w armii. A oto na drugim końcu Europy, na Półwyspie Pirenejskim, w Hiszpanii, faszyści wystąpili przeciwko Republice Hiszpańskiej. Daleko jest od nas do Hiszpanii. I wielu na pewno myślało wtedy — „co nas te sprawy obchodzą? Niech sobie Hiszpanie walczą ile chcą, bylebyśmy my mieli spokój".

Ale generał Świerczewski myślał inaczej. Generał Świerczewski myślał tak: „Hiszpańskiemu ludowi grozi największy jego wróg — faszyzm. Cóż z tego, że Hiszpanie mówią innym niż my językiem? Naród broni wolności i trzeba mu pomóc".

I generał Świerczewski pojechał do Hiszpanii i stanął do walki. Tak jak Kościuszko był wszędzie tam, gdzie szła walka o wolność, tak jak Puławski zginął za wolność dalekiej Ameryki, tak generał Świerczewski był wszędzie tam, gdzie sprawiedliwości, gdzie wolności zagrażało niebezpieczeństwo. Pod nazwiskiem „gen. Walter" obejmuje dowództwo nad 35 dywizją międzynarodową.

Lud hiszpański zna i po dziś dzień wspomina nieustraszonego Polaka, który bronił ich stolicy — Madrytu. Lud hiszpański śpiewa pieśni o generale Walterze i dzięki Niemu imię Polaka wymawiane tam jest ze specjalnym szacunkiem.

Szły lata i na Polskę runęła nawała hitlerowska. Generał Świerczewski choć już zmęczony walką i kilkakrotnie ranny, nie pozostał bierny. On, który walczył o wolność ludu rosyjskiego, On, który bronił ludu hiszpańskiego, stanął na pierwszy zew Swojej Ojczyzny. Był jednym z pierwszych organizatorów Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Obejmuje dowództwo nad II Armią Polską i wraz z nią zdobywa Dolny Śląsk, Odrę i Nisę Łużycką, idzie dalej aż poza granice Polski, wszędzie, gdzie jeszcze walczą, wszędzie gdzie się jeszcze bronią niedobitki hitlerowskie.

W zdradziecki sposób zabili Go ci, z którymi przez całe życie walczył — faszyści.

BENEDYKT HERTZ

Pszczółka króla Salomona

Król Salomon, bardzo dumny ze swej mądrości (dość rzadkiej śród głów koronowanych) dowiedział się, że w południowej Arabii, w kraju Szeba*), jest królowa, nie ustępująca mu rozumem.

— Muszę koniecznie ją poznać — pomyślał zaniepokojony, bo jej sława spać mi nie daje.

Kazał okulbaczyć pięćdziesiąt wielbłądów i wyprawił na nich poselstwo z darami tudzież zaproszeniem na bankiet. Dnia ani godziny tego bankietu, oczywiście, nie wyznaczył, bo trudno było zgadnąć, ile czasu wysłańcy będą w drodze. Z Jerozolimy do Mariaby (stolicy królowej) było przeszło 2.000 km, a wielbląd to nie samolot.

— Mam czas — myśli Salomon — pałac elegancko wyremontować, ogród kwietnikami przystroić i takie wymyślić potrawy, żeby oniemiała z podziwu.

Nie zwlekał jednak i z punktu wziął się do przygotowań. Nakazał zwołać setki robotników — cieśli, malarzy, murarzy, ogrodników, froterów, tapicerów... Bóg wie kogo jeszcze i oto dwór królewski w istną fabrykę się przemienił. Od rana do nocy krzątanina, pukanie młotków, świszczący szurgot pił, skrzypienie wozów... Mrowie ludzkie uwija się w ogrodzie, w salonach, kuchniach — wszędzie; a sam monarcha pilnuje robót, zagląda to tu, to tam, żeby mu czego, broń Boże, nie sfuszerowano.

Aż razu jednego, zmęczony tym ciągłym dreptaniem, siadł na marmurowych schodach, co łączyły ogród z pałacem, i z lekka chrapnął sobie. Słoneczko ślicznie świeci, motylki latają w powietrzu jak kolorowe wariaty, bzykają muchy, osy i inne błonkoskrzydłe śpiewaki, a pszczoły w pracowitym skupieniu rewidują wnętrza kwiatów...

Wtem zbudził się król i krzyknął boleśnie. Zbiegli się przerażeni dworzanie, patrzą — a tu nos monarsze czerwienieje w oczach i puchnie. Istny pomidor albo pieprz turecki.

— Kto śmiał mnie ugryźć w nos? — zagrzmiał Salomon.



Milczą straże, milczą niewolnicy... Nikt z nich nie poczuwa się do winy.

Zwołano więc radę ministrów, która po trzydniowych debatach przyszła do wniosku, że obrazy majestatu nikt nie dopuścił się inny, tylko jakiś bąk, osa albo pszczoła. Wezwano więc hetmana bąków na śledztwo, ale ten oświadczył pod przysięgą, że żaden z jego podkomendnych nie tknął królewskiego nosa — tym bardziej, iż był to dzień bezmięsny, ściśle w państwie bąków przestrzegany. Podobnie i matka roju os udowodniła, że w dniu wypadku, córek jej wcale w pobliżu pałacu nie było, gdyż miały obiad proszony na łące, gdzie właśnie zakwitły jaskry i stokrotki.

Przywołana z kolei królowa pszczół podobnych dowodów złożyć nie mogła; stało się więc jasne, iż któraś z jej służebnic winna była oszpecenia Salomonowego nosa. Ale która?

—Jeżeli się nie przyzna — zawołał monarcha — każę cały rój wykurzyć na cztery wiatry.

Straszny powstał między pszczołami lament. Bzykały, załamywały łapki i złorzeczyły nieznanej sprawczyni nieszczęścia. Wtem przed królewskim obliczem stanęła mała, malusieńka pszczółka i powiada:

—Nie chcę, aby za mnie cierpiały niewinnie moje starsze siostry i ciocie. Przyznaję się — ja to uczyniłam. Ale przebacz mi Najjaśniejszy Panie, gdyż nieświadoma byłam, jak wielkie popełniam przestępstwo. Jestem taka młodziutka, taka niedoświadczona...

— Młodziutka, niedoświadczona — przerwał jej Salomon — ale dobrze już umiesz obracać językiem. Ciekaw jestem, co jeszcze wymyślisz na swoją obronę.

— Nic nie wymyślę — odpowie pszczółka — bo mówię najszczerszą prawdę. Twój piękny nos, monarcho, wzięłam za kwiat róży.

Roześmiał się na te słowa mądry Salomon, a dworzanie pozatykali sobie usta, by króla nie obrazić. Ten zaś pokręcił głową i powiada:

— Pamiętaj, mała, że pochlebstwo cieszy głupca — mądrego obraża. Czy myślisz zyskać przebaczenie za chwalenie mojego nosa?

—O, nie, miłościwy panie! Ale wiem, że rozum zwykle łączy się z szlachetnością i dobrocią. A jeżeli darujesz mi winę — kto wie, czy nie uda mi się kiedy odwzajemnić się przysługą...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się znów Salomon — jakąż ty, mizerne stworzonko, możesz oddać usługę mnie, najpotężniejszemu z królów?

Machnął pogardliwie ręką, odwrócił się i pozwolił winowajczyni ulecieć bezkarnie.

* *

Wspaniale podejmował król Salomon piękną i potężną monarchinię, która w otoczeniu dworu, przybyła doń z dalekiego południa. Muzyka, śpiewy, tańce, biesiady zachwycały królowę, którą w dodatku obdarzył gospodarz cennymi upominkami ze złota, srebra, pereł i drogich kamieni.

Dni mijały na zabawach i zdawało się, że zapomniano, jaki miał być cel odwiedzin. Król i królowa ukradkiem przyglądali się sobie, a każde z nich myślało: ciekawa rzecz, kto z nas mądrzejszy?

Aż wreszcie ona nie wytrzymała i powiada:

— Tyle słyszałam, królu Salomonie, o twoim rozumie, iż zapragnęłam sama się o tym przekonać i dlatego tak chętnie przyjęłam twe zaproszenie.

— W tym również celu ja ci je posłałem. Tak dużo mi mówiono o twojej mądrości, że jej ciekawość spać mi nie dawała.

— Niestety jednak, dotąd miałam sposobność poznać tylko twoje bogactwo, gościnność, doskonałą kuchnię, piękne tancerki... Lecz nie dałeś okazji, bym podziwiać mogła twój tak chwalony rozum.

— O, dostojna pani, czyż godziłoby się mnie, gospodarzowi, chcieć prześcignąć mądrością gościa swego?

— Och,nie lękam się próby sił. Gotowam każdej chwili wezwać cię publicznie do walki na rozumy.



— Ha, skoro taka wola — odrzekł Salomon — nie wypada mi nic innego uczynić, jak przyjąć wyzwanie.

Przysłuchiwali się tej rozmowie dworzanie jednej i drugiej strony. Podczas gdy świta królowej pewna była jej zwycięstwa, dostojnicy miejscowi, którzy wiele słyszeli o przebiegłości pięknej monarchini, niepokoili się, czy aby ich pan zdoła obronną ręką wyjść z pojedynku.

— Zadam ci, miłościwy panie — rzekła królowa —pięć zagadek. Jeśli je zdołasz rozwiązać, uznam twoją nade mną przewagę.

— Słucham, królowo...

A ona rozparła się w fotelu i z filuternym uśmiechem zaczęła:

—Stoi wielka świątynia, wsparta na kolumnie, którą miast dwanaście otacza; w każdym mieście jest trzydzieści filarów, dokoła których chodzą dwie niewiasty: jedna w weselnej, druga w żałobnej szacie. Powiedz, królu Salomonie, co to takiego?

— Ach, pani — odrzekł — w naszym kraju takie zagadki dzieciom się daje. Świat jest świątynią, rok — kolumną, miesiące — miastami, a filary — dniami, dokoła których kolejno dzień i noc krążą.

— Zgadłeś ,królu Salomonie, ale to dopiero jedna zagadka. Mam cztery jeszcze.

— Słucham, królowo.

— Powiedz, ile mam włosów na głowie?

— Siedemset osiemdziesiąt cztery tysiące dwieście jedenaście — odparł bez namysłu.

— Jakto, skąd wiesz? — zapytała zdumiona.

— O, pani, jeśli nie wierzysz — policz.

Królowa zbladła, a śród jej dworzan przeleciał szmer niepokoju.

— Nie tryumfuj jeszcze, miłościwy panie, odezwała się po chwili — mam jeszcze trzy pytania w zapasie.

— Słucham, królowo.

— Powiedz, azali umiałbyś oczyścić z plam słońce?

— Dla ciebie, pani, chętnie to uczynię.

— A więc uczyń.

— W tej chwili. Tylko niech mi wasza królewska mość każe przystawić drabinę.

Rozległ się śmiech dworzan, a królowa aż podskoczyła na fotelu z gniewu.

(Dokończenie obok)

*) Dziś mówią: Saba, ale za czasów Salomona kraj ten nazywano Szeba.

ZOFIA KWIECIŃSKA

Prima Aprilis III B klasy

— Wiecie co? — zawołał Walek wpadając jak bomba do klasy. — Spotkałem w korytarzu pana dyrektora. Powiedział, żeby iść do domu, bo lekcji dzisiaj nie będzie...

— Nie może być?

— Co? Idziemy do domu?

— Wiwat pan dyrektor!...

Ten i ów zaczął już nawet książki pakować, kiedy Staszek nagle roześmiał się na całe gardło.

— Aleśmy się dali nabrać! Przecież dzisiaj Prima Aprilis. On oszukuje.

W klasie zrobiło się cicho, tak cicho, jak tylko bywa na lekcji, kiedy pan nakrzyczy albo opowiada coś bardzo ciekawego. Wszyscy jakoś od razu uwierzyli w ten Walkowy kawał i wszyscy wyobrazili sobie, co to oni będą robili w ten śliczny wiosenny dzień.

A do szkoły strasznie nie chciało się chodzić. Tym bardziej, że już wszyscy mieli ferie, tylko ta nieszczęsna III B klasa jeszcze musiała dwa dni się męczyć. Wyjątkowo, bo byli spóźnieni. Ale przecież oni wcale nie są temu winni...

Jeszcze na dobitkę Hanka powiedziała ni w pięć ni w dziewięć:

— Nad rzeką już rosną kaczeńce.

— Kaczeńce, to nie wiem — wtrącił zawsze milczący Ignaś — ale żabi skrzek widziałem...

I nagle tak się im zachciało tego żabiego skrzeku, tych kaczeńców, brodzenia po rozmiękłej od roztopów łące, że gdy Jurek zaproponował:

— A możebyśmy tak na Prima Aprilis poszli na wagary... — wszystkim się wydało, że inaczej postąpić po prostu nie można.

Nikt nie zauważył ich ucieczki.

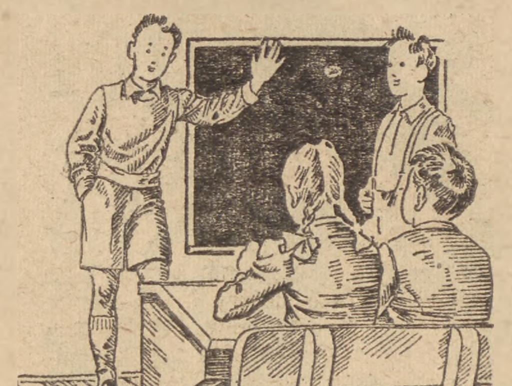
Z początku szli oddzielnie i dopiero na drugiej ulicy połączyli się. Świetnie było tak iść, głośno tupiąc nogami w twardy bruk ulicy. A na przedmieściach już ustawili się parami i jak najgrzeczniejsze w świecie dzieci szli równiutko i w nogę.

Ale zaraz za miastem okazało się, że maszerować „nie sposób", jak mówił zwykle Franek. Droga jak szeroka, od jednego brzegu do drugiego, przedstawiała jedna wielką kałużę gdzieniegdzie upstrzoną wysepkami lśniącego błota. A po tym błocie jeszcze gorzej było iść niż po wodzie, bo chwytało za buty i wciągało nogi aż po kostki, gęste, lepkie i ciężkie. Pierwsza ugrzęzła w nim Halina i od razu się rozbeczała.

— Ja mam nowe buciki... Zupełnie się zniszczą...

— Widzieli ją — odezwał się Witek tryumfalnie wyciągając z gęstej mazi swoje, za duże trochę i podarte, buciory. — Jak się boisz to wracaj do domu.

Łatwo powiedzieć. Ale wracać z wagarów w pojedynkę nie tak to znowu przyjemnie. Zresztą Halina wychodząc nie myślała zupełnie jak się ten powrót odbędzie i dopiero teraz wyobraziła sobie zatroskaną twarz matki oglądającej, na nic zniszczone, nowe buciki i surowy głos ojca:



„To ja pracuję ciężko, żeby się dzieci uczyć mogły, żeby na ludzi wyszły, a ty..." Nie, tego Halina przedtem zupełnie sobie nie wyobrażała i teraz myślała tylko o jednym — żeby jak najbardziej oddalić ten nieszczęsny powrót do domu. Pochlipując więc brnęła dalej. Aż się zlitował nad nią Walek:

— Zejdź na trawę. Tu jest woda, to się mniej ubłocisz.

Z początku było bardzo przyjemnie, kiedy za każdym krokiem spod nóg tryskały fontanny wody. Witek nawet starał się umyślnie stąpać tak, żeby bryzgało wysoko. Nikt już nie myślał ani o butach, ani o ubraniu. Wszyscy byli jednakowo ochlapani i mieli jednakowo przemoczone nogi. Kaczeńców nigdzie nie było. I nigdzie nie mogli znaleźć żabiego skrzeku, choć nie opuścili ani jednej kałuży i grzebali się w każdym bajorku.

— Gdzież to wy tak idziecie? — zagadnęła ich nagle jakaś kobieta, która wysoko podkasawszy spódnicę brnęła na przełaj przez łąkę.

— A na wycieczkę babciu — rezolutnie odpowiedział Franek.

— Zwariowali w tym mieście, czy co — oburzyła się kobieta — żeby dzieci na takie błocko na wycieczkę posyłać...

— Bo u nas babciu wszystko dziasiaj na opak — zaśmiał się Walek.

— Co?

— W mieście dzisiaj wszystko na opak. Zupełnie na opak. Ludzie ciągną wozy, a konie siedzą na kozłach i powożą.

— Kobieta wzruszyła ramionami:

— Czy sami głupi, czy mnie za głupią mają...

Aż nieprzyjemnie się zrobiło.

— Bo ciebie się zawsze jakieś niemądre dowcipy trzymają — wybuchnął nagle Staszek. — Widzisz, że starsza kobieta, to co takie głupstwa pleciesz?

— Ot znalazł się mentor. A ty to dla starszych zawsze grzeczny jesteś?

— Kto to podał ten zwariowany projekt wagarów? — zmienił temat Witek, któremu porządnie już nogi zmarzły.

— Któż by był taki mądry jak nie Jurek?

— Mogliście nie słuchać — rozindyczył się Jurek. — Kazałem wam iść, czy jak?

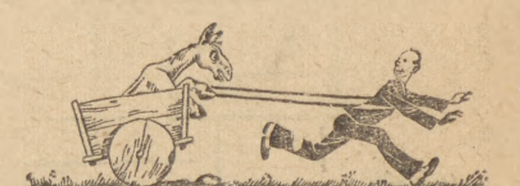
Humory były zdecydowanie zepsute. Te wagary stanowczo znacznie piękniej się przedstawiały, gdy je sobie tylko wyobrażali siedząc w ciepłej i suchej klasie.

— Właściwie to już można byłoby wracać. Dwunasta godzina — powiedział Franek, patrząc na zegarek. Ten zegarek był jego dumą i przedmiotem zazdrości całej klasy.

Nikt nie odpowiedział, ale wszyscy jak na komendę zawrócili. Im bliżej miasta, tym niżej na kwintę opuszczały się nosy. Nie szli już głównymi ulicami, jak w tamtą stronę. Przemykali się zaułkami i przechodnimi bramami.

W klasie zastali niespodziewanie panią i mimo, że nie był to dzień wywiadówki, ojca Franka i Walka, matkę Haliny i innych rodziców. Franek, który cały czas nadrabiał miną i pierwszy wszedł do szkoły, zatrzymał się we drzwiach niezdecydowany. Na widok ojca stracił cały rezon.

A dalej już wszystko poszło normalnym trybem. Długo tłumaczyli, że to był tylko żart, że więcej się nie powtórzy, że to był tylko Prima Aprilis. Potem mówili coś rodzice i mówiła pani. Wreszcie dzieci zabłocone i zziębnięte powędrowały do domu. Tak skończył się Prima Aprilis trzeciej B klasy. Jedni dostali w domu suszonych malin przeciwko przeziębieniu, inni zaś na rozgrzewkę w skórę. Ale to już nie było ani na żarty ani na Prima Aprilis...



(Dokończenie ze str. 2)

— Jeszcze nie wygrałeś! — krzyknęła z widocznym rozdrażnieniem — mam prawo dwa jeszcze pytania ci zadać.

— Słucham, królowo...

— Powiedz mi, królu Salomonie, coś takiego, o czym bym nie wiedziała ani ja, ani nikt z obecnych.

— O, królowo, wszak jesteś mi dłużna od roku dwa tysiące talentów. Czy o tym zapomniałaś?

—Co?... co takiego? — zawołała — nigdy o tym nie słyszałam!

Ostatnie jej słowa zagłuszył śmiech ogólny. Dworzanom królowej zrzedły miny, a natomiast fantazji nabrali członkowie świty Salomona. Lecz radość ich trwała krótko. Bo oto, na skinienie królowej, wnieśli czarni niewolnicy olbrzymi kosz cudnych kwiatów i postawili przed tronem Salomona. A monarchini rzekła:

— Oto kwiaty sztuczne, tak misternie przez moich robotników uczynione, że ich od naturalnych odróżnić nie sposób. Ale jest między nimi jeden żywy... Wskaż mi go.

To powiedziawszy, spojrzała drwiąco na Salomona, który z kolei pobladł. Niepokój wyjrzał z oczu dworzan, a ich przeciwnicy podnieśli głowy do góry.

— Liczę do trzech — odezwała się znów królowa — jeżeli przez ten czas nie rozpoznasz, który kwiat jest prawdziwy — przegrałeś. Raz... dwa...

Już miała wymówić: trzy, gdy nad koszem pojawiła się maleńka pszczółka i siadła na kwiatku, który Salomon czym prędzej palcem wskazał.

Gromki okrzyk radości wydarł się z piersi tłumu Salomonowych dworzan.

— Zwyciężyłeś — rzekła kwaśno królowa.

A Salomon pomyślał: jak to dobrze, żem nie skrzywdził tej małej pszczółki. Nie wadzi mieć przyjaciół nawet śród istot najsłabszych. Nikim pogardzać nie należy.





Mieszka babka
w chałupce:
chodzi w chustce
i szubce:
zdjąć ich nie ma
zamiaru,
bo się boi kataru.

A chałupka
już stara,
tu szpareczka,
tu szpara.
Tkwił w nich kiedyś
mech suchy —
pozostały
okruchy.

Zajrzał wróbel
przez szparę:
— Babko, odszedł
katarek!
Zdejm tę szubkę
na wacie,
przewietrz kąty
w swej chacie!...

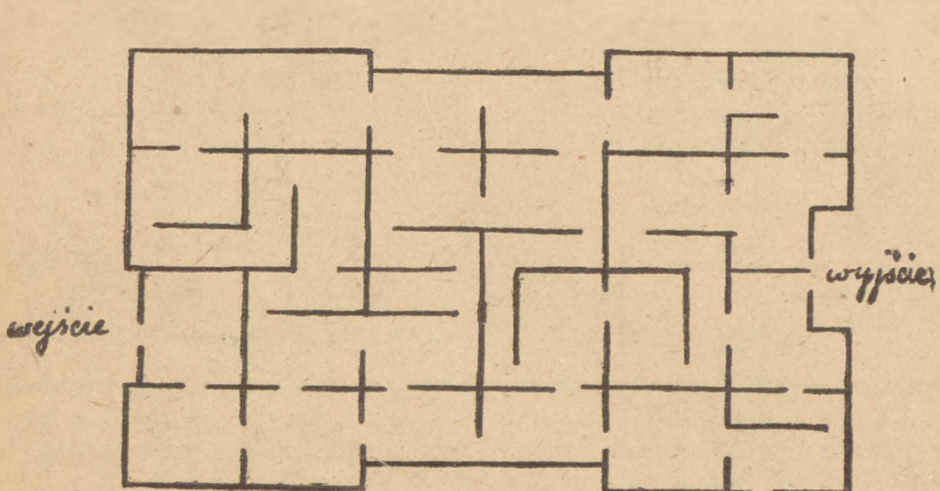


Babka temu
nie wierzy:
Wszak na drzewach
śnieg leży...
— To nie śnieżek,
a kwiaty,
Już wiosenka,
wyjdź z chaty!...

L. WISZNIEWSKI

KĄCIK ROZRYWKOWY

LABIRYNT



Ten rysunek przedstawia dom o wielkiej ilości połączonych z sobą otwartymi drzwiami pokoi. Postarajcie się przejść od wejścia do wyjścia, tak, by nie ominąć ani jednego pokoju i przez żaden dwa razy nie przechodzić.

ZAGADKI

1. Wąska i długa
stoi pod ścianą,
zgadujcie dzieci
jakie jej miano.

2. Okuta żelazem,
malowana w kwiaty,
zwykle bywa skarbcem
i ozdobą chaty.

3. Rankiem je codziennie
opuszczasz Weronko,
bo już czas do szkoły,
bo świeci już słonko.
Lecz, gdy cię już zmęczy
całodzienna praca,
to chętnie wieczorem
znowu doń powracasz.

4. Muszę wam powiedzieć
jeśli mam być szczery;
miewa jedną nogę,
może mieć też cztery.
Potrzebny jest wszystkim,
czy małym, czy dużym,
w każdym bywa domu
i każdemu służy.

ROZWIĄZANIE Z NR. 10 (70)

Dodawanki:

1. Tata—rak,
2. Bal—on,
3. d—rama—t,
4. p—łama.

ROZWIĄZANIE Z NR 11 (71)

Słońce, abecadło, nożyczki, koło, igła.

SANKI